Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 35. Poznań, dnia 25. Listopada. **1839.**

Literatura zagraniczna.

Orco.

Z Maitres Mosaistes par George Sand.

(Opowiadanie kobiety.)

(Ciąg dalszy.)

Idąc za maską, uważał, że się znajduje nad samym brzegiem kanału, to znów na moście, pod sklepieniem, lub w labiryncie ciemnych krzyżujących się uliczek; — zginąłby bez przewodnika. Szedł więc w milczeniu, nie okazując najmniejszéj obawy. Po dobréj godzinie przechadzki stanęła maska i rzekła: „To dobrze! mężne masz serce! za najmniejszym znakiem strachu byłabym cię opuściła, nigdybym już z tobą więcéj niemówiła. Lecz kiedy tak, przyjdź jutro o 11stéj w wieczór na plac Św. Jana i Pawła; dziś niechódź już dłużéj za mną, ale idź na prawo, a ujrzysz się na placu Św. Marka.« — Święcie hrabia dopełnił rozkazu.

Nazajutrz stawił się o umówionéj godzinie, gdzie oczekiwała go już maska, w przysionku kościoła. — »Dobrze! dotrzymujesz słowa. Wnijdźmy!« to wymówiwszy z wielkiém zadziwieniem hrabiego, który wiedział, iż o téj godzinie zamkięte są kościoły, uderzyła ręką w klamkę i weszła do kościoła, — za nią hrabia. Jeszcze bardziéj zdumiał, ujrzawszy kościoł wspaniale oświecony, a zupełnie próżny. »Jakież to nabożeństwo ma się teraz odprawiać?« zapytał. — „Żadne. Kościół mnie tego wieczora oczekiwał, więcéj nic. Idźmy daléj!« — Naprożno się zaciekał w domysły, aby odgadnąć znaczenie tych wyrazów. Maska zaprowadziła go na środek kościoła, a pokazując mu ołtarze, kaplice, sklepienia, obrazy, ozdoby, wszystko szczegółowo objaśniała, tak, że hrabia poznawał dopiero wielkość myśli ukrytéj w rozmaitéj formie. Z czcią religijną słuchał pięknego wykładu jéj ust wymownych; maska przez kilka godzin ciągle mówiąc i stojąc, żadnego nie okazywała zmęczenia, tylko głowa jéj spadła na piersi, w których serce gwałtownie biło; zdawała się przysłuchiwać tłumionym westchnieniom, wykradającym się z ich głębi. Skończywszy wzniosła oczy i ręce ku niebu, i wykrzyknęła: »O niewolo! niewolo!« à łzy z pod maski na czarną suknię spływały. — »Czego płaczesz?« zawołał hrabia, zbliżając się do niéj. — »Do zobaczenia!« odpowiedziała, »jutro o północy przed arsenałem!« — i wyszła. — W téj chwili zadzwoniono na różaniec, światła pogasły, a hrabia dopiero odzyskał przytomność, gdy ujrzał krzątających się zakrystyanów. Napróżno silił się odgadnąć nazwisko kobiety tak śmiałéj, taką władzę i tyle wiadomości posiadającéj, pełnéj wdzięku w mowie i wspaniałości w postawie.

Nazajutrz o północy hrabia przed arsenałem spotkał maskę, która, nic nie rzekłszy, szła prosto przed nim do drzwi bocznych arsenału, otworzyła zamek kluczem złotym, który zabłysnął przy świetle księżyca; bez najmniejszego szelestu weszła i dała znak hrabiemu, żeby za nią postąpił. — Ten wahał się, świadomy, że podobny krok prowadzi przed sąd wojenny; lecz widząc, że maska drzwi przed nim chce zamknąć, wszedł, postanowiwszy wszystkiego doświadczyć. Maska wszędzie złotym kluczem otwierała. Sale arsenałowe były oświecone. Pokazywała hrabiemu broń najciekawszą i najsławniejszą, która służyła w dniach chwały rzeczypospolitéj tak jéj obrońcom, jak jéj nieprzyjaciołom, opowiadała, w jakich potyczkach była używana lub zdobyta; tłómaczyła znaczenie wszelkich trofeów, i takim sposobem przeszła nieledwie całą historyą Wenecyi. Przybywszy do sali, gdzie były szczątki okrętów, z każdym z osobna go obznajomiła; a nareszcie pokazując galeryą Bucentaura, rzekła głosem głębokiego smutku: »Oto szczątki naszéj chwały! ostatni statek, na którym jechał doża zaślubić morze. Teraz Wenecya niewolnicą, a niewolnicy nikt nie zaślubia! O niewolo! niewolo!« — Po tych słowach wyszła, wyprowadzając hrabiego tą samą drogą, jaką przyszli; nie byli widziani od gęstych straży, otaczających arsenał, a na placu rozstając się z nim, naznaczyła mu nowe spotkanie na dzień następny.

Tak codzień coraz do innych prowadziła go gmachów; wszystko mu z zapałem rozbierając, co tylko z dawną historyą Wenecyi związek mieć mogło. Hrabia powodowany z początku ciekawością i podziwem tak się do niéj przywiązał, iż przepędzenie z nią nocy koniecznością mu się stało. Chociaż słowa jéj zawsze były smutne i surowe, znajdował w nich urok trudny do opisania. Nigdy go się o nazwisko nie pytała; on też nigdy o jéj nazwisko i stan zapytać nieśmiał. Nigdy słowa miłości do siebie nierzekli; czuł jednak hrabia, że ona ma do niego zaufanie i sympatyą; żył cały w nadziei posiadania téj, którą pokochał, a lękał się chwili poznania. Jednéj nocy pod kolumnadą Św. Marka zatrzymała go maska przed obrazem, który wystawiał dziewicę klęczącą przed patronem bazyliki i miasta.*) — »Cóż sądzisz o téj kobiecie?« zagadła, zostawiwszy mu czas do wpatrzenia się w obraz. — »Jestto najcudniejsza piękność, jaką tylko wyobrazić sobie podobna. Dusza artysty mogła nam dać jéj wizerunek, ale wzór niemoże istnieć, tylko w niebie!« odpowiedział. — Maska mocno ścisnęła mu rękę i rzekła: »Nieznam piękniejszéj twarzy, jak Św. Marka i niemogłabym kochać innego, jak tylko tego, który jest żyjącym jego obrazem.« — Słysząc te słowa hrabia zbladł i ledwo na nogach mógł się utrzymać; poznał, że twarz świętego z jego twarzą uderzające miała podobieństwo. Padł przed maską na kolana i zrosił rękę jéj łzami, nie będąc w stanie, słowa wymówić. — »Wiem teraz, że do mnie należysz i że jesteś godnym znać i posiadać mnie. Do widzenia! na balu! jutro w pałacu Servilio!«

Hrabia upojony szczęściem cały dzień biegał po mieście, kłaniał się kamienicom, rozmawiał z wiatrem, przechodzących którzy go sobie pokazywali jako waryata miał sam za waryatów; znajomym pytającym, co mu się stało, odpowiadał: »będę szczęśliwym!« — Na wieczór ubrał się w nowy mundur, nową szarfę i nowe szlify i udał się do pałacu Servilio.

Bal był świetny; prócz oficerów garnizonu wszyscy byli w maskach. Hrabia przebiegał wszystkie sale, ani przepych w strojach, ani najpiękniejsze twarze nie zwróciły jego uwagi na siebie, bo nieznalazł téj, którą szukał. — »Niemasz jéj tu! nie jestto jeszcze godzina, o któréj się ukazuje!« Stanął więc pod kolumną przy głównem wnijściu i z natężonym wzrokiem patrzał na każde drzwi poruszenie. Wiele razy drzwi się otworzyły, wiele kobiet weszło, a serce jego nie biło. W chwili, gdy zegar miał uderzyć jedenastą, zadrżał i i wykrzyknął: »Otóż ona!« — Drzwi szeroko się rozwarły — weszła kobieta, która wszystkich oczy na siebie ściągnęła. Hrabia natychmiast ją poznał — była to dziewica z obrazu Św. Marka, ubrana jako dożowa XV. wieku, pięknością jeszcze bardziéj jak przepysznym ubiorem jaśniejąca. Postępowała krokiem powolnym i majestatycznym; rzucając naokół siebie wzrokiem dumnym, nie kłaniała się nikomu, jak gdyby była królową balu. Nikt prócz hrabiego nie znał jéj, ale każdego zajęła cudowną swą pięknością i wyrazem wielkości, i każdy z uszanowaniem ją witał. Hrabia odurzony szedł opodal za nią. Gdy do ostatniéj przybyła sali, piękny młodzieniec w ubiorze Tassa, śpiewał, wtorując sobie na gitarze, romans na cześć Wenecyi. Wprost do niego przyszła i nieruchomém okiem w niego się wpatrzywszy, zapytała, ktoby on był, co odważa się, w takiém ubraniu opiewać Wenecyą? — Młodzieniec spuścił głowę, zbladł i oddał jéj gitarę. — Wzięła ją, a przebierając po stronach od niechcenia, zaśpiewała głosem wdzięcznym pieśń dziwną, często przerywaną:

»Tańczcie, śmiejcie się i śpiewajcie wesołe dzieci Wenecyi! Dla was zima niema mrozów, dla was noc niema ciemności, a życie niema troski. Jesteście najszczęśliwsi na świecie i Wenecya jest królową narodów! Któżby śmiał twierdzić przeciwnie? któżby śmiał mówić: Wenecya nie jest już Wenecyą! Miejcie się na baczności! Są oczy, które patrzą, uszy, które słuchają i języki, które mówią; lękajcie się rady dziesięciu, jeżeli jesteście obywatelami dobrymi! Dobrzy obywatele tańczą, śmieją się i śpiewają, ale nic nie mówią! Tańczcie, śmiejcie się, śpiewajcie, wesołe dzieci Wenecyi! Wenecyo! jedyne miasto, które nie było stworzone ręką ludzką, ale rozumem; ty, co zdajesz się służyć na przechodnie mieszkanie dla sprawiedliwych, postawione jako stopień między niebem a ziemią. Wy mury zamieszkałe przez nadludzkie istoty; kolumnady napowietrzne, które sięgacie horyzontu, i wy sklepienia mieszczące tysiące głosów w odpowiedzi na jeden głos przechodni; wy zastępy aniołów i świętych, co zdajecie się w kopułach wzlatywać na skrzydłach marmurowych i bronzowych, i ty cała stolico, co nie leżysz, jak inne, w błocie lub na piasku, ale pływasz, jak stado łabędzi nad bałwanami morza, cieszcie się, cieszcie się wszyscy! Nowe was czeka przeznaczenie, równie jak pierwsze świetne. Czarny dwugłowy orzeł wznosi się nad lwem Św. Marka i germańskie stopy walcują w pałacu dożów! Umilknijcie harmonie nocne! uciszcie się głupie balowe hałasy! niech cię już więcéj słychać nie będzie święty rybaków śpiewie; przestań mruczeć głosie adrya-

---

*) Św. Marek jest patronem Wenecyi; dziewica przed nim klęcząca wyobraża Wenecyą.

tycki! Zgaśnij lampo Madonny i ukryj się na zawsze srebrny królu nocy! niemasz już Wenecyan w Wenecyi! Senże to? Jesteśmyż na jakiéj uroczystości? Tak jest, tak, tańczmy, śmiejmy się, śpiewajmy! Jestto godzina, o któréj cień Faliergo zstępuje, powoli na wschody Olbrzymów i siada nieporuszony na ostatnim stopniu. Tańczmy, śmiejmy się i śpiewajmy! — gdyż natychmiast głos zegaru zawoła: północ! a chor umarłych zagrzmi: niewola! niewola!«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Ostatnie wspomnienie.

Do Laury.

Dawniéj bez serca — dziś bez rozumu,
O! biedna Lauro! nim zginę
Dla ciebie z głuchych pamiątek tłumu,
Wianek Ofelii uwinę.
Ty go drżącemi weźmiesz rękoma,
Jak wąż ci czoło okręci.....
Oto bławatki, ruta i słoma,
A to są kwiaty pamięci.....

Burza żywota nad nami mija,
Przeminie — lecz głową zegnie.
Śmiech nie pociesza — ból nie zabija,
Wkrótce i rozum odbiegnie.
Cicha spokojność nigdy nie wróci,
Zniszczenia wicher nie wionie,
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci....
A w nicość śmierć nie pochłonie....

Strętwiałość! — za cóż ten zimny kamień
Na serca nasze się wali?
Żeśmy się niegdyś w kraju omamień
Na jednéj drodze spotkali?
Że cię tak długo dźwiękami lutni,
Budziłem i do snu kładłem:
A ty smutniejsza, niż ludzie smutni,
Za innem biegłaś widziadłem.

I coraz wyżéj w niebo lecąca,
Niknęłaś w marzeń lazurze;
I roztopiona w blasku miesiąca,
Zwiędłą rzuciłaś mi różę.
I niewiem nawet, czy z twego czoła,
Czy twoją skropiona łezką,
Czy mi jakiego ręka anioła
Rzuciła różę niebieską.

Ciemność twéj duszy, jak dżumy plama
Od ciała przeszła do ciała.
Widzisz jad w sercu? — to łza ta sama,
Którąś ty w serce nalała.
Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec,
Gdzież ty oddechem przebiegła.
Nie laur na głowie — lecz z ognia wieniec,
Tyś skrami oczu zażegła.

Dziś, gdy mi włosy burza roztarga,
Ogniami czoło mam sine:
A jakąś dumą drży moja warga,
Że w tych płomieniach nie ginę....
Lecz, gdy do szczęścia świat mię zawoła,
Nie biegnąc za szczęsnych śladem:
Przeklinam ciebie bladością czoła!
Serca przeklinam cię jadem!

Więc niech mię prędko chmury czarnemi
Porywa wicher nicości!
Bo już przekląłem wszystko na ziemi,
Wszystko — w aniele przeszłości.
Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka,
I falą powraca ciemną:
Nic mię nie żegna, nic mię nie czeka,
Nic za mną! i nic przedemną!

Gdy bracia moi, gdy wędrownicy
Lecieli z szumem po niebie:
Ja nieruchomy, gwiazdą źrennicy,
Patrzałem w przeszłość — na ciebie.
Dziewice ziemi nieraz spostrzegły,
Łzawemi oczu błękity,
Że oczy moje za tobą biegły,
Żem był na sercu zabity.

Okruszynami serca, miłości,
Karmiłem blade widziadła....
Ale łza taka, jak łza przeszłości,
Na żadne serce nie spadła.
Jak moje oczy topią się — mdleją,
Jak myśli rzucają ze dna,
Jak iskry sypią, jak łzami leją,
Ty wiesz! — lecz tylko ty jedna.

A teraz, smutny przeszłości echem,
O! ludzie, idę za wami.
Choć śmiech wasz dla mnie, szalonych śmiechem,
Łzy wasze — szalonych łzami.
Lecz, gdy się znudzę łez zimnych rosą,
I zimnych uściskiem prawic:
Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry pełne błyskawic.

Paryż 1839. *Juliusz Słowacki.*

Wioska w Polesiu.

Nulla dies abeat quin linea ducta supersit.

Jeśli jaki kraj cichy, jeśli jaki spokojny to Polesie nasze. Kiedy przez którą wieś gościniec nie idzie, to prócz pospolitego odgłosu wsi, któren jest jakby jéj

35 *

oddechem, nic nie słychać obcego, nic nie widać cudzego, wszystkie świty jednakowo siwe, wszystkie chustki jednakowo białe, i sosny jednakowo zielone, i chaty jednakowo niskie i nieforemne, i ten sam zawsze dym czarny po nad ich dymnikami się zwija.

Jednakże, jak dwóch liści jednakowych na krzaku, tak dwóch wiosek zupełnie jednakowych w Polesiu nie znajdziesz; tam cerkiew wyższa, tam las gęstszy, tam chat więcéj — wszystkie podobne, nie ma jednakowych, jak dwu twarzy ludzi.

Spojrzyj po nad to jeziorko, które ciche i spokojne położyło się u stóp wzgórza, zajętego przez dwór pański — jest to jedna z najpiękniejszych wiosek wołyńskiego Polesia. Gdy zjedziesz z pagórka, po którym droga się wije, widzisz przed sobą wioskę rozsypaną po nad brzegiem jeziora, za niem dwór bielejący, a od przyjazdu twego cerkiew trzykopulną na wzgórku. Idzie droga spadzista nad jeziorkiem aż do karczmy, która wieś poczyna. W oddaleniu na około jednaki las sosnowy, mniéj więcéj zniszczony, niższy lub wyższy, piasek, błoto i pochmurne niebo.

Wśród wsi ciągnie się błotnista ulica, gdzieniegdzie przedzielona dróżką od chaty do chłopskiego gumna paździerzem lub trzaskami wysłaną — otaczają ulicę naprzemian chaty, chlewy, gumna całe i pozawalane i poczynające się klecić, to znów kawałki tykowego płotu. Tu i owdzie blada jarzębina wychyla się z za zagrody na ulicę, lub długi żuraw od studni kołysze się powoli nad głową przechodnia. Z przodu chat widzisz tylko niewygodną przyżbę, niskie drzwi, zniżone jeszcze wysokim progiem, małe okienka z umyślnych szyb okrągłych do dna butelki podobnych złożone; rzadko nieforemne szybki bielsze, kupione z gotowém oknem na jarmarku, zastępują pospolite okno. Nad okopciałym dachem ze słomy lub dranic wznosi się dymnik drewniany, czarny od dymu, a w zimie oprócz słupa jaki przezeń ulatuje, widzisz jeszcze przez wszystkie szczeliny dachu wyciskający się dym, czasem nawet buchający przezedrzwi. W takiéj to atmosferze żyje Poleszuk.

Środek chaty to samo ubóstwo, czy niedbalstwo ukazuje; sień błotnista zwyczajnie, po któréj świnie się przechodzą, zarzucona grabiami, przygotowaném łuczywem, wiadrami: izba z piecem i ławą, z ławami na około, ciemna, mała, dymna; stół jeden, dzieża w rogu izby, czasem kołyska dziecka i krosna do płótna. Nic zbytkowego, nic nad pierwsze życia potrzeby, żadnego wspomnienia, żadnego uczucia przywiązanego do przedmiotu nie znajdziesz, jest to jeszcze stan dziki ludu, który nie myśli o niczem, prócz pierwszych potrzeb zwierzęcych. Zaledwie dziecinne młynki i ogródki pod chatami przypomną ci, że i tu w ich wieku bawić się wolno. — Niedługo jednak, bo dziecię zaczynając od pastuszkowania, rzuca swoje zabawki na zawsze.

O, jak lżéj daleko nad jeziorem, niż w téj chacie smutnéj i brudnéj! — Na wzgórzu masz dom dziedzica, którego topole przeglądają się w wodzie — ostawiony szpichlerzami, gumnami, stirtami i stogi siana. Widać tam śród drzew gołębnik i żuraw studni i próżnujący wiatrak z tyłu na wzgórku, któremu lasy wiatr kradną.

Daléj na drugim brzegu cerkiew czarna, mała, stara, krzyż koło niéj i dzwonnica; cerkiew, któréj jeszcze życie wraca, kiedy się pieśnią jéj ściany rozlegą, dzwony uderzą, lud ją przepełni, od niedzieli do niedzieli milcząca i głucha patrzy na wioskę, jak staruszka na dzieci. W oddaleniu na polu wśród zagonów jest smętarz wiejski z żółtemi mogiły, z żółtemi i czarnemi krzyżami podwojnemi i potrójnemi, nad które jeden wyższy krzyż Bartnika wzniosłszy się panuje.

Teraz pytaj, jak ci ludzie żyją, którzy w tych chatach mieszkają, w téj cerkwi się modlą i na tym smętarzu leżą. Życie to smutne, a jednak nawyknieniem lekkie, byleby Bóg rodził, byleby ich zbyt obfity ryb połów głodem nie straszył, bo wierzą w przysłowie: kiedy się ryba łowi, żyto się nie rodzi. Łatwo wytłómaczyć tę przypowiastkę, ryby najlepiéj się łowią, gdy wiele wody, a niskim gruntom Polesia zalewy grożą nieurodzajem. — Zapomnieliśmy jeszcze ważnéj jednéj we wsi budowli, jednéj z najważniejszych. Widzieliśmy już dwór, który dla kmiecia reprezentuje władzę i zwierzchność, cerkiew, która jest skarbnicą niebieskich nadziei, zostaje karczma, miejsce uciech codziennych. Wszystkim tym trzem w koło siebie ustawionym ogniskom, wieśniak musi dać z siebie życie, musi płacić za opiekę panu, za nadzieję księdzu, za uciechę arędarzowi; wszyscy trzéj żyją z niego, ale i on bez nich żyćby nie potrafił. Pokażcie mi wieś bez dworu, cerkwi i karczmy; będzie to biedna jakaś sierota. Jeszcze obejdzie się bez dworu, obejdzie się bez cerkwi, są miejsca, gdzie o milę chodzą się modlić i grzebać umarłych, — ale gdzież jest wieś bez karczmy? byłoby to stworzenie bez głowy. Karczma bowiem jest miejscem schadzki, rady i wesela, w niéj się wszystko zawiązuje, w niéj żal jeden drugiemu wylewa, w niéj się kłócą i biją i swarzą i godzą. Karczma jest sercem wsi, tak jak cerkiew jéj głową, a żołądkiem jéj dwór, ręce i nogi tego ciała to chaty wieśniacze. W téj długiéj walącéj się budowie, w któréj razem mieszka żyd z familią, bydło, kozy, gęsi i kury, przez ścianę tylko od siebie; jest główne miejsce schadzki i rady, dzisiejsze horodyszcze wieśniaków. Nad jéj da-

chem wznosi się arystokratyczny biały komin, okna w niéj podobne chłopskim, ale większe, u okien okiennice, u drzwi czasem żelazne klamki. Pierwsza izba prócz łóżka żydowskiego, które w każdéj izbie być musi, ma stół szynkowny, szafę z odmalowanemi kwartami i obarzankami, piec z przypieckiem i komin szeroki, palący się nawet latem dla Poleszuka; wiadro z wodą bezpłatnym napojem ubogich podróżnych, trochę bachurów, błota i t. d.

Tu to zobaczysz starców wlokących się, żeby zalać w głowie resztę rozumu i pamięci; kobiety oszarpane i brudne niosące krupy, jaja, kury, za kwartę wódki; dziewczęta pijące dziesięcią łykami jeden kieliszek; chłopców ziębłych zasługujących się pani arędarce za kroplę tego napoju. O, ileż tu scen, których połowa ludzi, że są nisko, nie widzi, druga połowa nie sądzi godnemi bliższego poznania. A jednak — i to są ludzie, i tu najszczerzéj może odkrywa się na jaw natura ludzka, ze wszystkiemi właściwemi sobie fenomenami.

J. I. Kraszewski.

Wyjątki z Stefana Czarnieckiego,

Powieści M. Czajkowskiego dotąd drukiem nieogłoszonéj.

(Dalszy ciąg.)

W tem nadszedł pan kasztelan Kijowski z panem Weslem; kasztelan wąsa potargał, a Wąsowiczowi lżéj zrobiło się na sercu, bo nie za brodę się wziął. Wszyscy twarzami obrócili się ku kasztelanowi i z poszanowaniem bez przerywania słuchali jego słów.

»Mości panowie, źleście zrobili, ale co się stało, to się niewróci; wola Jego królewskiéj Mości jest, aby wam wszystko było przebaczonem i ja ją wam donoszę. Dziękujcie Jego dobroci, wolni jesteście, Mości panowie. Panie hrabio z Châtre, przepraszam pana, za rygor w brew gościnności polskiéj, ale na ten raz trudno z nią było pogodzić obowiązek żołnierza. Mości wojewodzicu, Waszmości radziłbym jako rodak, abyś udał się do swojego ojca pana wojewody, i skłonił go, aby z królem się łączył. Wasze Mości starościcu, że nie jesteś ukaranym, nie moja w tém wina; miałeś mieć zaszczyt na czele dragonii przeprowadzać królowę Imość do Krakowa, teraz komu innemu godniejszemu ten zaszczyt powierzonym został; a Wasze pamiętaj późniejszemi czynami zagładzić dzisiejsze przewinienie. I ty stary, mieszać się tobie do zwad młodzieży? Nam zgody i jedności trzeba; idź, pociesz stroskane chorągwie po tobie.«

»Mości panie kasztelanie, to nic, fraszki; przed miesiącem wojewodzic ani znaku niebędzie miał na twarzy, a to nie zawadzi, ta zaprawa dla młodego człowieka; wszak i myśliwca jak pierwszy raz ufarbują to potém lepiéj strzela.«

Hrabia z Châtre i wojewodzic skłonili się i wyszli z izby, nic niemówiąc. Hrabia myślał: to polski Duguesclin, coś w nim godniejszego, jak w naszym Fabercie. Wojewodzic czuł swoją próżność poniżoną łagodnemi słowami urojonego przeciwnika swojego rodu. Kasztelan z Weslem udali się do drugiéj izby, a Wąsowicz, odchodząc z starościcem, mówił do niego: »No, chwała Bogu, że się upiekło: nie sądziłem, że tak się uda; teraz można śmiało powiedzieć: nie tak straszny djabeł, jak go malują. Ale Waszmość panu nie po myśli, jak z przed nosa porwano hetmanównę. Co to by było za pole do smalenia cholewek; bo to i na koniu i w podróży wszystko uchodzi, bez owych krygów i ceregielów, jakich wam nawieźli ci Francuzi.« — Starościc zły, zębami zagryzł wąsa: »Niech djabli wezmą i tego wojewodzica i ten przeklęty pojedynek?« — »A co przyznajesz nareszcie Waszmość, że amor zagifesował ćwieka w sercu. Co ma wisieć, to nie utonie; jeźli Wacpanu sądzona hetmanówna, to jéj ani anioł, ani djabeł przed tobą nieuchwyci; jeźli inaczéj, to i głowę rozsadź o mur a nic nieporadzisz. Chodź teraz między towarzyszy; przy szklanicy, przy wesołéj rozmowie, zaszołomi się w głowie, i stare przysłowie mówi: na frasunek dobry trunek, a harcarki ze Szwedem do reszty ciebie wyleczą; a potem, jak Bóg da po wojnie, wypijemy i Bohdanki waszecinéj, i małżonki, i to po staropolsku, z trzewika, inaczéj nie;« a dowiedziawszy się od szeregowca, gdzie stał obóz, gwałtem do niego poprowadził starościca Zakroczymskiego.

Rozdział III.

Albowiem u ciebie jest zlitowanie;
i dla zakonu Twego czekałem cię,
Panie.
Psalm CXXIX.

Z nadejściem kwarcianego wojska z Rusi, mieszkańce Warszawy ochłonęli z pierwiastkowego przestrachu, i Szwed nie tak groźnym się już im zdawał. Magistrat Warszawski wziąwszy na kieł, szablami po ulicach bruk krzesał, i niemógł się nacieszyć przywilejem noszenia broni; mieszczanie cudzoziemce i tubylce prosili, aby zamieniono im trzciny na muszkiety, i pozwolono utworzyć regimenta piechoty; łyczaki nawet z lichych okolicznych mieścin przybiegli, i zalecali się do służb ojczyzny. Stan duchowny, poczciwe mnichy, gorąco modlili się o pomyślność broni polskiéj, o rychłe zwy-

cięztwo nad Szwedami. Żydzi, to przeklęte plugawstwo, i myśli i mówi: czy Polaków, czy Szwedów djabli wezmą, nam wszystko jedno, byle nasza skóra była cała; my służymy temu, kto silniejszy i kogo snadniéj można oszukać; schowali pieniądze, łachmanami i niecnotą myślą się bronić i od swoich i od wrogów. Szlachcic polski, to nie dziwota, ujął za szablę i tak jak innych narodów ludzie do zabaw, tak on gotów na boje, z wesołą myślą, z radośnem sercem, a chłopki polskiéj ziemi wołają: zawezwijcie też i na nas, pozwólcie nam pójść z sobą, zobaczycie, że prędko wyplenimy tę nierogaciznę, co się wparła w nasz wspólny ogród.

Ojcowie narodu, przewielebni biskupi, wojewodowie i kasztelanowie korony i Litwy, podówczas znachodzący się w Warszawie, zebrali się na radę senatu do nowego gmachu, zwanego Kazimierowskim pałacem. Wszystkich serca płonęły czystą miłością dla ojczyzny, zwyczajnie jak przystało na ojców polskiego narodu, ale we wszystkich serca powkradały się zawiść, niechęć, urazy jednych ku drugim, i całe obmierzłe plemie tego potworu ochrzconego w lackim kraju imieniem prywaty. Daremnemiby się stały błagalne wołania o zgodę i jedność Floryana Czartoryskiego, Poznańskiego biskupa, w niweczby się obróciły przedstawienia króla Jegomości, bo już podówczas nieszanowano ani majestatu tronu, ani władzy królewskiéj. Senat by się był rozjechał, jak nieraz się rozjeżdżały sejmy, strwoniwszy czas na wrzaskach, sporach i kłótniach, dla ojczyzny żadnego dobra niezdziaławszy; ale Stefan Czarniecki, niedawnemi czasy mianowany kasztelanem Kijowskim po zmarłym Zbigniewie Gorajskim, jako senator i wódz przybyłego wojska do Warszawy, szanując wolę swoich współbraci senatorów, oświadczył swoję wolę, a wsparty przybyciem Stanisława Lanckorońskiego hetmana polnego korony, Ruskiego wojewody, który nadciągnął do Warszawy z wojskiem, dokazał, że tak się stało, jak oni chcieli, a jak król i królowa życzyli sobie.

Wola senatu postanowiła, że senat, królowa Imość, dwór królewski, klejnoty korony polskiéj, skarby rzeczypospolitéj miały się przenieść do starego Krakowa. Królowi polecono z hetmanami i z wojskiem iść przeciw wrogowi; na załodze Warszawy kazano zostawić Wesla, starostę Makowskiego, z dwiestą koni, i upoważnić go do zbrojenia mieszczan i tworzenia z onych regimentów piechoty. Do stanu duchownego odwołano się o pieniądze na wojenne potrzeby, króla upoważniono do wezwania wszystkiéj szlachty na koń, do rozesłania wici na pospolite ruszenie. O chłopkach odroczono naradzić się w Krakowie. Jedném słowem, senat wypowiedział krwawą wojnę najezdzcom Szwedom.

Wieczorem po obradach senatu, w Ujazdowskim pałacu, w jednéj z głównych komnat ociągniętéj tureckiemi makatami, od sufitu strojnego w gzymsy i sztukaterye filigranowéj roboty, aż do dębowéj posadzki, układanéj w rozmaite rysunki; w poręczastem krześle siedział starzec, przybrany w staropolską granatową czamarę. Na zawiędłéj i ogorzałéj szyi, koszula spięta na szpinkę kształtu konchy, z któréj żarzył się dyament wielkości wroniego oka, a poniżéj niego poszóstnym półwieńcem błyszczały na złotém tle szmaragdy zmieszane z rubinami. Obok starca, na zwyczajnem krześle, siedziała młoda dziewica, w błękitnym bagazyowym kubraczku; na głowie czworograniasty soboli kołpaczek, ozdobiony dwoma sznurami drogich kamieni, z pod którego w kędziorach spadały czarne włosy na śnieżną szyję. Ciemnobure starca oko wpatrywało się w lica i postać dziewicy, rodzicielska rozkosz blasku mu dodała, a czysta łza radości jak światło brylantuje promienie oka. — »Moje dziecię, jakżeś ty urosło! prawda, że półtora roku to nie godzina, nie dzień, czas bieży. Jak zwyciężymy wroga, przy pomocy Pana Zastępów, moja jedynaczko, trzeba pomyśleć dla ciebie o opiekunie. Ja stary, już nad grobem, i mnie się zda podpora, zastępca.« — Dziewica całowała go w rękę, i jéj oko kąpie się we łzach czułości — »Ojcze, ja ci będę podporą, ja ciebie zastąpię, pozwól, abym pielęgnowała twój wiek sędziwy, jakeś ty pielęgnował moje lata dziecinne; wracajmy do naszego zamku nad Dniestrem, do naszych włości w Bracławskiem, dosyć się już wysłużyłeś ojczyznie.« — »Moje dziecko, nigdy dosyć wysłużyć się niemożna ojczyznie. Ona naszą matką, naszą dobrodziejką, jéj wszystko winniśmy poświęcić. Siedmiu synów straciłem w boju; twoja siostra mi odumarła, tyś mi jedna pozostała, ale gdybyś była chłopcem, jeszcze bym i ciebie poprowadził na boje. Inaczéj chciał Bóg i ja błogosławię jego wolę. Ty pocieszaj moją starość, a ja będę służyć ojczyznie, póki siły dozwolą nogom zwlec się na konia, a ręku szablą pomachać.« — »Ja bym chciała ciebie nieodstępować nigdy, mój ojcze, ja bym chciała z tobą być zawsze; mnie tu tak nudno, tak smutno.« — »Moja jedynaczko, wszak królowa przyrzekła ci być matką, zastąpić jéj miejsce, a to pani wielkiéj duszy, czułego serca.« — Zadumała się dziewica — »Ona dobra, łaskawa na mnie; ale czyż pieszczoty obcych mogą iść na szali z jednem spojrzeniem, z jednem słówkiem swojego. O moja luba matko, i jażbym o tobie zapomniała, i ciebież by kto mógł zastąpić w mem sercu. O nie! nigdy! ty tylko ojcze, tém dla mnie jesteś, czemby ona była, gdyby Bóg jéj nieodebrał życia.« — Starcowi duszno na sercu, do oka

łzy żalu i rozrzewnienie się cisną — »Moja złota doniu, nie smuć się tak ciężko, bo mnie w sercu nie dobrze; może Bóg da, że po téj wojnie już więcéj ojczyzna mego ramienia potrzebować niebędzie. Pojedziemy nad Dniester do Kitajgrodu, tam sobie osiądziemy z rodziną, z przyjaciołmi i dawnemi sługi. Będziemy żyć w błogim spokoju, gawędząc o dawnych rzeczach. Niesmuć się doniu, ale nic mi niepowiadasz o podkomorzance podolskiéj, córce pana Mikołaja? wszak to twoja cioteczna siostra, rowienniczka, razem się z sobą wychowałyście.« — »Rozalia to moja najmilsza przyjaciółka, bez niéj umarłabym z tęsknoty, pojechała z królową do pani wojewodziny Wileńskiéj, ale zaraz potem tu przyjedzie.« — »Dobrze, żeś mi przypomniała. Hej, Żeromski!« — i wszedł pierwszy dworzanin pana hetmana polnego. — »Poszlij Wacpan kozaka do obozu niech prosi do mnie pana starostę Żytomirskiego i pana pułkownika Teterę i to zaraz, a sam potrudź się do pana kasztelana Kijowskiego i powiedz, że czekam teraz, bo późniéj będę musiał pojechać do zamku.« — Żeromski odszedł, a panna Joanna zapłoniła się żywym rumieńcem, poprawiała włosy, a nawet ukradkiem spojrzała w zwierciadło. Stary hetman spostrzegł i zaśmiał się: »Dobrze moja dziewko, choć to Tetera i Wąsowicz dawni znajomi, ale kasztelan chce mi przedstawić swojego synowca; a panna Lanckorońska nie zalotnie ale chędogo powinna się okazywać przed gośćmi odwiedzającemi jéj ojca. Ja to lubię w kobietach,« — i pogładził ją po twarzy — »bądź wesołéj myśli, moja doniu, pomyślałem; niepojedziesz tylko do Krakowa z królową, a ztamtąd do Lanckorony. Już tam na wszelki przypadek kazałem przyjechać Radzikowéj z mężem. Ztąd Żeromski pojedzie z wami, niezabraknie tam na niczem ani tobie, ani pannie Rozalii. Pan Mikołaj gniewać się niebędzie; jest tam załoga moich kozaków, Puxa niestraci głowy, a jakby było źle, to i do Kitajgrodu zaprowadzi.«

Joanna pocałowała w rękę ojca; w tem zaturkotały koła powozu na dziedzińcu; jeszcze rozgłos turkotu nie ustał, jak weszła a raczéj wleciała do komnaty panna Rozalia Potocka, a całując starca w ramie — »Uniżona sługa wujaszka; ledwiem się wyrwała od tych królewskich nudów; a ty Joasiu, cóż to jest, w oczach łzy a na twarzy rumieniec, czy znowu opiewałaś treny Jana Kochanowskiego. Mój ojciec, moja matka, czy zdrowi, weseli? i jakżeż tam na Ukrainie?« — Niebyłoby końca pytlowaniu jéj języka, gdyby hetman ucałowawszy ją serdecznie w czoło, nie był przerwał rozmowy: »Mnie staremu to się godzi dotknąć ustami tego pięknego czoła; hetmański to kąsek. Pan podkomorzy, pani podkomorzyna zdrowi, Ukraina cała i Podole tęsknią za panną Rozalią.« — »Gdyby tęsknili, niezostawiliby nas między tymi Francuzami, gdzie i serce i rozum na opak mogą się przekrzywić; gdzie nie znają ani bojaźni Bożéj, ani miłości bliźniego. Tu niema nic szczerego, wszystko udane, zwyczajnie, jak na królewskim dworze.« — Hetman popatrzył zdziwionem okiem — »Cóż to panna Rozalia peroruje, a to widzę, dziwy się dzieją na tym dworze.« — »Gotowambym kazać, jak ksiądz z kazalnicy, byle nas ztąd wyrwano, wszak prawda Joasiu?« — »Ojciec obiecał, że do Lanckorony pojedziemy, i pani Radzikowa tam będzie.« — »Wiwat! doskonale! Radzikunia .... to to będziemy jéj psoty robić, ja ją tak kocham,« — i wziąwszy na stronę pannę Lanckorońskę — »słuchaj Joasiu, panna Grosouvre ze złości szaleje i na ciebie i na Sapieżankę, że umyślnie odprowadzacie od niéj staroście. Z Sapieżanką nie chciała się dziś witać; czekaj, nauczę ja Francuzkę rozumu.« I już na zadatek przyszłego figla, o którym dopiero miała pomyśleć, śmiała się, jak szalona. — A stary hetman rzekł: »Wracam należną cześć pannie Rozalii, jaką była Rozalka taką i teraz jest; nie darmo Podkomorzyna mówiła zawsze: moja Rozalka, to kozak, nie dziewczyna.«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Moje wspomnienia, *przez Alexandra Jełowickiego.* 2 *tomy.* 1839.

(Dokończenie.)

Już z ostatnich rozdziałów tomu pierwszego wnioskować było można jakiém okiem na dalsze wypadki zapatrywać się będzie autor. — Niebędziemy tu zbijać jego zasad (coby nam tak łatwo było); lecz opuszczając opis politycznych wypadków, pominąwszy nawet uwagi nad stroną 370 i 371, która w nas tylko śmiech wzbudziła, — pominąwszy piękny opis Szwajcaryi, przejdziemy do opisu jego literackiéj działalności w Paryżu, dokąd w skutek wypadków r. 1831 się udał. — Przybywszy do Paryża, zajął się zaraz wydawaniem celniejszych tworów naszego pismiennictwa; porozumiał się z Eustachym Januszkiewiczem i Stefanem Dębowskim i założył tamże drukarnią i księgarnią polską. Jako wydawcy (pisze autor) nadsyłano mi z rozmaitych stron rozmaite rękopisma mową wiązaną, i niewiązaną i wielkie i małe; a wszystko z wielkiemi pochwałami, a ja musiałem czytać to wszystko a małom się kiedy doczytał czego dobrego. Kiedym już był zmęczony i znudzony mozolną pracą czytania rękopismów, przychodzi Michał Czajkowski i przynosi mi swoje Powieści kozackie, takiemi kulasami pisane, że wszystkie litery były do siebie podobne, a wyglądały, jak kozackie nahajki. Czajkowski wyszedł, a ja do kulasów ani w ząb; więc kulasy idą do ciupy na pokutę. Powieści leżą sobie spokojnie ruski miesiąc, aż niespokojny o nie Czajkowski wpada — »A co, czytałeś?« — »Próbowałem, ale niemogę wyczytać.« — »No, no, przeczytaj, choć jednę, która

najwyraźniejsza.« — A że on ma takie pogodne wejrzenie, że jak o co prosi, trzeba zrobić, choć trudno; więc ja wybrałem sobie powieść o Atamanie Kunickim, która była najwyraźniéj pisana, a odgadnąwszy kulasy Czajkowskiego, czytam, aż mi oczy łzą zaszły, choć mnie nie bolały. Od pana Atamana wybrałem się do drugich powieści, wszędzie bujne czucie rozdyma piersi westchnieniem, podnosi serce odwagą; jest pęd, jest życie, jest prawda, jest nadewszystko coś czerstwego, silnego, zdrowego, świeżego, jak w ukraińskiém powietrzu, jak w ukraińskiéj wiosnie; Ukraina stanęła mi cała przed oczy, gdym czytał powieści Czajkowskiego; radbym pohulać z kozakami jego! — Drukuję więc natychmiast powieści kozackie, a za powieściami ognistego Wernyhorę, szalonego Kirdżalego, a daléj rubasznego Czarnieckiego, jak tylko się skończy, i wszystko, co Czajkowski napisze.»

W końcu umieścimy tu wspomnienie o naszym niezrównanym Chopinie: »Dusza muzyczna ze skrzydłami poezyi wleciała w ciało, jak pajęczyna, i przez to ciało widać ją, jak pajęczynę; i to się nazywa Szopen *(Chopin)*. Jeszczem go dzieckiem zaznał w Warszawie, a zaraz mówiłem, że niemasz mu równego na świecie i zgadłem; Szopen wywinął lot swój nad wszystkich, powiedział sobie: będę poetą muzykiem, — i tak się stało i nikt nie zgadnie, czy więcéj u niego muzyki w poezyi, czy poezyi w muzyce. Przy tém wszystkiém zwyczajnie, jak u dobrego Polaka, tyle narodowego uczucia, że jak siądzie do klawicymbału to Polaka słuchacza zaprowadzi myślą do Poski, wodzi go po całéj Polsce i zaprowadzi aż w serce Polski — aż do domu. To też, jak mi już smutek dokuczy, idę do Szopena; jak spojrzę na niego, to mi już weseléj, bo i on tęskny, i oba pocieszamy się w tęsknotach naszych. Przywodzim sobie na pamięć dawne czasy, a jak już z nich wybrnąć niemożem, on siada do fortepianu, ja gaszę świecę. Słaby blask ognia od kominka igra cieniem Szopena, jak blask pamięci igra cieniem przeszłości; daleki hałas ulicy czasem zawyje, jak burza, czasem zaszumi jak wodospad, — i cicho — a Szopen, jakby czarowną mocą, zaczarowawszy swój fortepian, spędziwszy weń wszystkie dźwięki i wszystkie głosy, każe mu opiewać poezją swoją — i tak śpiewa, niewiem, jak długo, bom zawsze o czasie zapomniał — śpiewa i przeszłe szczęście nasze i biedę obecną i tęskność za matką i tęsknotę tego świata i radości niebieskie i wyrywa mi podwójne i potrójne westchnienie, wywoła niejedną łzę z oka, duszę rozburzy i znów uspokoi wdzięczném brzmieniem, niby poszeptem guślarza przygoi rany serca i błogo na duszy i uczucie pokoju owładnie mnie, na dobrą chwilę odprowadzi mnie do domu, towarzyszy w modlitwie i strzeże snu mego.«

Autor kończy swe dzieło kilku pięknemi słowami pokory i nadziei; szkoda tylko, że i tu ów nieszczęsny duch pietystyczny się przebija. Marzenia, modły, ufność, są piękne w krainie ideałów, lecz niemi życia narodom nie przywrócim.

Działajmy tylko w duchu postępu, wykorzeniajmy to, co w nas złe, co na przeszkodzie równości i godności człowieka, a pewno niebędziemy z autorem potrzebowali dłużéj mówić »cały świat mię boli i łzy cisną się do oczów.« Nie skarzmy się na to, co jest tylko naszą winą. Niech świat uczuje, że może być szczęśliwy, a pewno nim będzie. Czas do tego zawsze; wszakże cała przyszłość naszą!

Doniesienia literackie.

W tych dniach wyszedł z druku u Silbermana w Strasburgu pierwszy oddział poezyi Seweryna Goszczyńskiego. Całe dzieło obejmuje tom jeden, pod tytułem Trzy struny, i dzieli się na trzy oddziały, stósownie do trzech epok, w których te poezje były pisane.

Rozprawa pana Jastrzębskiego, o któréj wspomnieliśmy na str. 216. pisma naszego wyszła obecnie w Paryżu pod nazwą: »*Notice sur le texte du saire*« *(extract du Journal général de l'instruction publique des 4. et 7. sept. 1839) in 8vo.* 11 stron. W uczonéj i pracowitéj rozprawie, którą, jak donieśliśmy, pan Jastrzębski w formie raportu przesłał ministrowi oświecenia, wyjaśnia wiele kwestyj odnoszących się do sławnego manuskryptu Sławiańskiego będącego w bibliotece w Rheims. Rękopis ten był przedmiotem badań wielu uczonych francuzkich i cudzoziemców. Piotr W. w przejeździe swoim 1717 oglądał go i zaręczał, że pierwsza jego część pisana po sławiańsku. Strojeff niedawnemi czasy opinię jego utwierdził, a co do drugiéj części oświadczył, że musi być pisana po armeńsku albo georgijsku; lecz ponieważ nie jest orientalistą, przeto niechce się mieszać w nieswoje. Tymczasem p. Jastrzębski ostatecznie się przekonał, że część pierwsza jest spisana własnoręcznie przez S. Prokopa, opata monasteru Sazawy, (w Czechach) około 1010. — 1040. r.; druga zaś część należy do jednego z mnichów monasteru Sw Hieronima, założonego przez Karóla IV. w r. 1349. Obie pisane po sławiańsku, zawierają nauki wyjęte z nowego testamentu na niedziele i święta.

W Warszawie wyszedł tom 1wszy Prac literackich Skotnickiego. Tom drugi wyjdzie w Styczniu r. p.

W miesiącu przyszłym ukończy się druk »poezyj Edmunda Wasilewskiego«; wydanie to będzie bardzo piękne.

W księgarni Stefańskiego wyszła «Historya panowania Jana Kazimierza« przez nieznajomego autora, wydana przez E. Raczyńskiego, z ryciną przedstawiającą króla Jana Kazimierza. Cena 18 zlp.

Z Lwowa donoszą o śmierci Adama Kasperowskiego. Mąż ten znany jest uczonemu światy z kilku pism w przedmiotach pięknéj literatury; przedewszystkiem zajmował się technologią i stał się krajowi swemu pożytecznym kilką dziełami. Zawiązał od 2. lat Tygodnik rolniczo-przemysłowy i gorliwie zatrudniał się jego wydawaniem.

W Warszawie wyszedł poszyt 9ty tomu drugiego świata dramatycznego, zawiera dokończenie powieści Margrabina i aktor; pomnik Belliniego; Mellesvill skic biograficzny i t. d. Tamże opuściło prassę dość ważne dla gospodarzy i weterynarzy dzieło: O zarązie bydlęcéj, przez J. Lewandowskiego.

Hoene Wroński wydał w Paryżu w przeszłym miesiącu drugi tom swego dzieła: *Messianisme, union finale de la philosophie et de la religion constituant la philosophie absolue.* — Tom ten zawiera: »*Metapolitique Messianique désordre révolutionnaire du monde civilisé. In 4. liv. 1 et 11. = Bulletin de l'Union antinomienne.*

Spohr ukończył swoją 6tą Symfonią; — którą nazwał historyczną; — jéj pierwsza część przedstawia Bacha i Händla (1730), druga Haydna i Mozarta (1780), trzecia Bethovena (1810), czwarta jest komponowana w stylu spółczesnych kompozytorów.

Oświadczenie.

Redakcya Tygodnika literackiego w celu zapobieżenia fałszywym pogłoskom, widzi się spowodowaną do oświadczenia, iż składa się i będzie się i nadal składać jedynie tylko z podpisanego redaktora A. Woykowskiego. **Redakcya Tygodnika liter.** (A. Woykowski.)